

SPLOT NIESKONCZONOŚCI 02

bydgoski dwumiesięcznik kulturalny · ISSN 2543-487X · rok III · nr 2 · listopad - grudzień 2018



Maksymilian Gwinciński

Wstępniak

Mniej więcej w połowie stycznia bieżącego roku odbyliśmy ostatnie redakcyjne spotkanie. Najważniejszym ustaleniem, którego dokonaliśmy był temat następnego wydania. Stanęło na czasie. Wybitny francuski kompozytor Hector Berlioz powiedział kiedyś, że czas jest wielkim nauczycielem, tyle tylko, że zabija własnych uczniów. Słowa te idealnie opisują naszą dziesięciomiesięczną walkę z wybranym tematem. Najpierw nas podzielił, później uśpił i chciał już zabić, ale w ostatniej chwili wróciliśmy do siebie i oto jesteśmy znów.

Najistotniejsze pamiętki z tej niepisanej bitwy to, oprócz wielu cennych przemyśleń, artykuły, które ostatecznie udało nam się umieścić w tym numerze. Przedstawienie pojęcia retrofuturyzmu, historyczny rys zegarków czy wspomnienie zmarłego przed dziesięciu laty ponadczasowego artysty jakim był Pimp C – to tylko niektóre z drobniejszych tematów na które podzieliliśmy ten jeden główny. Jak zwykle jest różnorodnie, każdy znajdzie coś dla siebie.

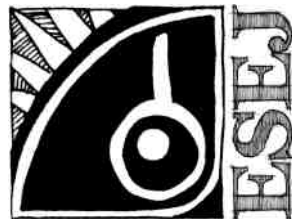
Od następnego roku wracamy do poważnej gry. Zarówno jako magazyn, jak i wytwórnia. Będzie lepiej, będzie kolorowo, ale przede wszystkim będziemy bliżej. Bliżej tego, co staramy się opisywać każdego dnia na nowo jako rzeczywistość. Czy uda nam się? Czy będziecie ciągle z nami? Czas pokaże...

Spis treści

ESEJ	3
Czas na język	
ESEJ	6
Natura czasu	
FELIETON	8
Retrofuturyzm	
FELIETON	10
Spało nam się źle	
NAUKA	13
O zegarkach słów kilka	
OPOWIADANIE	17
Syn	
FELIETON	21
Sam diabeł szepnął: Pekapej	
ESEJ	25
Wszechpotężny Władca Burzy	
MUZYKA	27
LONG LIVE THE PIMP	
POEZJA	30
Jan Jamiołkowski	
Nowości	32

Katarzyna Stępień

Czas na język



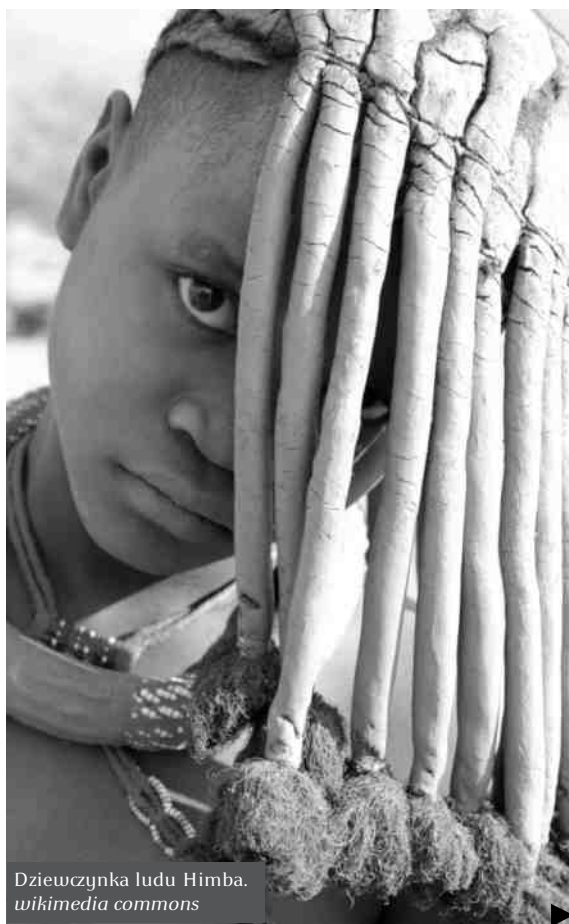
Spośród aż sześciu tysięcy języków, które istnieją obecnie, tylko dziesięć z nich przetrwa kolejne sto lat. Czy oznacza to jednak, że istnieje na świecie aż (albo tylko) sześć tysięcy sposobów na postrzeganie rzeczywistości, a przez kolejne lata liczba ta będzie się drastycznie zmniejszać? Według amerykańskiego językoznawcy Noama Chomsky'ego każde dziecko w momencie urodzenia posiada umiejętności językowe. Zdolność do produkowania i percypowania języka jest wrodzona i wynika z biologicznych uwarunkowań człowieka.. Czy istotne jest więc, który język będzie jego pierwszym?

RODZIMY JĘZYK NIE POZOSTAJE BEZ ZWIĄZKU Z NASZYM SPOSOBEM POSTRZEGANIA ŚWIATA

Podobną teorię na początku XX wieku wystosowali językoznawcy Edward Sapir i jego uczeń Benjamin Lee Whorf. Hipoteza Sapira-Whorfa mówi, że pierwszy język, jaki poznajemy, kształtuje nasz sposób postrzegania świata. Hipoteza posiada dwa główne założenia: relatywizm i determinizm językowy. Relatywizm językowy zakłada, że rodzimy język wpływa na nasze zachowanie i sposoby postrzegania rzeczywistości. Proste i oczywiste. Niby, bo przecież nie powiemy zero-jedynkowo, że Anglik ma problemy w komunikacji międzyludzkiej, a Polak zawsze jest zachłanny. Język uwarunkowuje nasze zachowanie do pewnego stopnia. Przykładem takiego determinizmu jest postrzeganie koloru. Jednym z badaczy, którzy zainteresowali się tym tematem, był Prof. Jules Davidoff z Goldsmiths University w Londynie. Przeprowadził on doświadczenie związane z rozróżnianiem koloru niebieskiego i zielonego wśród afrykańskiego plemienia Himba. Jego członkowie dysponują słownikiem, który pod względem określeń barw i kolorów jest o połowę uboższy, niż słownik przeciętnego Europejczyka. Co jednak ciekawe, byli oni w stanie odróżnić od siebie różne odcienie zielonego, ale nie widzieli różnicy pomiędzy zielonym a niebieskim. Słowo, które służyło im do opisu tych dwóch kolorów, to dla nich „zoozu”.

Drugim założeniem hipotezy Sapira-Whorfa jest tak zwany determinizm językowy, który mówi, że język uwarunkowuje nasze sposoby postrzegania rzeczy-

wistości. Stanowi środek do postrzegania siebie w rzeczywistości, osadzenia naszego „ja” w określonych schematach. Może to być właśnie umiejscowienie poszczególnych jednostki w czasie. Benjamin Lee Whorf prowadził badania nad językami Majów i Hopi (Indianie Ameryki Północnej). Plemię to nie pojmuje zjawiska czasu jako continuum. Nie istnieją



Dziewczynka ludu Himba.
wikimedia commons

Czas na język

w ich języku czasy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. A przynajmniej nie istnieją w naszym, europejskim rozumieniu. Hopi bowiem opracowali idealny sposób na poruszanie się w zawiłościach językowych. Do każdego czasownika dodają oni odpowiednią końcówkę, dzięki czemu wiadomo, czy chodzi o czasowniki odkryte (przeszłość, teraźniejszość) czy ukryte (przyszłość, marzenia, życzenia). Co więcej, to Whorf właśnie kwestionował teorię Newtona, jakoby istniał tylko jeden, wszechogarniający, zawsze zmierzający w tym samym kierunku czas we wszechświecie. Uważał on, że jest to kwestia czysto kulturowa, a angielski fizyk był w stanie wystosować podobne twierdzenie tylko ze względu na swoje urodzenie. (Tezy Whorfa pod tytułem „Model universum Indian” zostały opublikowane w „International Journal of American Linguistics” nr 16/1950, gdzie też odsyłam wszystkich zainteresowanych.)

Czy jednak jest to prawdą? Przez ponad 70 lat, które minęły od opublikowania hipotezy (choć może powinniśmy powiedzieć pomysłu, jako że nie była to hipoteza w ścisłym, naukowym rozumieniu tego słowa -

Whorf nie był nawet językoznawcą) naukowcy zachodzili w głowę, co by tu zrobić z tym fantem.

NAKAZ CZY MOŻLIWOŚĆ?

Jak przecież wiemy istnieją w każdym języku słowa unikalne, nieprzetłumaczalne. Czy oznacza to jednak, że język DEFINIUJE nasze rozumienie, czy tylko je UŁATWIA?

Przykład opisany powyżej (Indianie Hopi, którzy nawet jeśli nie mieli zdefiniowanej formy gramatycznej dla czasów przyszłych, używali jednak końcówek, aby uzyskać podobny do znanego nam efekt) nie pozostaje jedynym. Kolejnym jest język mandaryński (wg badań Alfreda Blooma, który dowiódł, że niemożliwe jest dosłowne tłumaczenie pomiędzy językami). Nawet jeśli do opisywania czynności w czasie przeszłym, teraźniejszym i przyszłym Chińczycy używają tego samego czasownika, nie oznacza to, że nie są w stanie zrozumieć różnicy pomiędzy nimi, a po prostu zamiast poszczególnych końcówek, zawsze



Figurki Kachina plemienia Hopi.
wikimedia commons

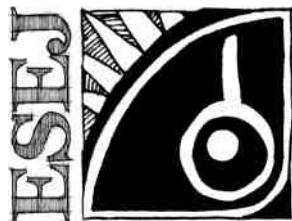
Czas na język

określą umiejscowienie w czasie w stopniu bardziej dokładnym (na przykład „za 5 minut” czy „trzy dni wcześniej”). Ciekawie sytuacja przedstawia się też, jeśli chodzi o wywodzące się z Chile plemię Kawésqar (badania z 2004 roku). Stworzyli oni swój własny język i nawet jeśli obecnie nie można już raczej mówić o pozytywnych prognozach (pozostało jedynie 7 osób, dla których jest to język macierzysty), to przez wiele lat dzielnie opierali się wpływowi hiszpańskiemu. W przeszłości nie istniał dla nich gramatycznie zarysowany czas przyszły. Polując, poruszając się głównie po porywistych rzekach i żyjąc z dnia na dzień, nie istniała dla nich wyraźna potrzeba mówienia o czymś, co kojarzymy jako tak zwaną „przyszłość”. Podobną sytuację spotkamy jednak w języku japońskim, a zdecydowanie nie jest to naród koczowniczy. Jak widać, brak określonej formy nie narzuca określonego trybu życia.

Wyjątek stanowi pirahã, jedyny język z rodziny mura, który nie uległ portugalskiej ekspansji. Obecnie posługuje się nim około trzystu osób w kilku amazońskich wioskach. Jest jednak wyjątkowy z jednego prostego powodu: jego użytkownicy, a przynajmniej ci, dla których jest to język macierzysty, pozostają jednojęzyczni. Nie tylko z tego powodu jest to język wyjątkowy. Posiada najmniejszy zasób fonemów na świecie (8 spółgłosek i 3 samogłoski). Nie posiada liczebników, określeń na kolory, a co najciekawsze, występuje w nim całkowity brak zdań złożonych. W zamian za to dysponuje szerokim wachlarzem określeń związanych z fauną. Tubylcy nie wyczuwają potrzeby poszerzenia swoich umiejętności językowych o kolejny, ponieważ ten jeden idealnie im odpowiada. Język pirahã to jak na razie jedyny dowód na istnienie takiego zjawiska jak relatywizm językowy. (Artykuł opublikowany w „Current Anthropology” 2005, Cultural Constraints on Grammar and Cognition in Pirahã).



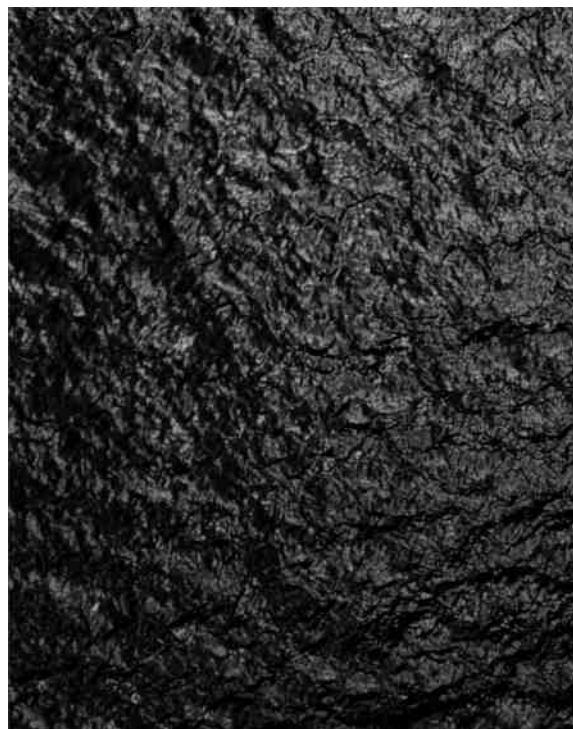
Jeśli od dziecka jesteśmy przyzwyczajani do używania określonej konstrukcji gramatycznej (takiego jak konkretne określanie czasu), staje się to dla nas naturalne. Natomiast wypracowanie pewnego schematu postępowania w komunikacji może mieć wpływ na naszą interpretację zdarzeń, sposób postrzegania rzeczywistości, uczuć itp. Są to jednak nawyki, jakich nasz umysł się wyuczył. Hipoteza Sapira-Whorfa przypomina trochę romantyczną teorię, gdzie świat dałoby się ująć w zrozumiałe normy. Na przestrzeni lat nawet ten złudny idealizm, uległ spaceniu realizmu. Szczególnie w obecnych czasach, kiedy za pośrednictwem internetu, w każdej chwili można rozpocząć naukę nowego języka. Warto przy tym pamiętać, że tak naprawdę język nie jest środkiem, który zmusza nas do myślenia w pewien określony sposób, a raczej przyzwyczaja do pewnych zachowań.



Marcelina Gaworzewska

Natura czasu (rys historyczny)

Zamykam oczy i zatykam uszy. Odwracam wszystkie zmysły od obrazów rzeczy, teraz dysponuję tylko własnym umysłem. Zazwyczaj słyszę wszystko, co emituje dźwięki, czuję ciepło bijące z rozgrzanej materii, widzę oświetlone ciała. Muszę odrzucić również wspomnienia o tych rzeczach, niemożliwym jest zapomnieć, mogę co najwyżej uznać je za fałszywe lub za sen rozmywający się w jaźni. Po tak radykalnym wyłączeniu się na wszystkie czynniki zewnętrzne, czy mogę w dalszym ciągu powiedzieć o sobie, że istnieję w czasie? Sam sposób mojego myślenia nie uległ zmianie. Ale czy myśl może istnieć poza czasem? Jeżeli to proces zachodzący w umyśle, to samo ujęcie przepływu myśli implikuje skojarzenia z ruchem i zmianą. Pierwotniej jeszcze doznaję bycia sobą. Moja świadomość własnej świadomości rozciąga się na całą i pełną obecność mojego ja dla mnie. Trwam i nie wskażę początku ani końca siebie, istnieję na podobieństwo wieczności.



Ekwilibrystyka znaczeniowa czasu jest niezwykle barwna i bogata, pojęcie wielokrotnie ewoluowało w historii myśli ludzkiej. Człowiek doznaje nieustannego stawania się, ale równie intuicyjnie w jego umyśle klaruje się idea wieczności rozumianej dwojako, albo jako istnienie poza czasem, albo poczucie nieskończoności trwania. To z prób zrozumienia i następnie wyjaśnienia wzajemnej relacji między tym, co niezmiennie, a tym, co zmienne wyłoniły się pierwsze koncepcje czasu. Każdorazowo wyrastały z przyjętego przez konkretnego filozofa światopoglądu, funkcjonowały w spójnych systemach. Parmenides ustanowił paradygmat bytu, podstawę dla wszelkich filozoficznych rozważań. Byt jest, a niebytu nie ma. Jeśli czegoś literalnie nie ma, to nie może być nawet nicością ponieważ nicость, zgodnie z pierwszą zasadą, w tym świecie nie występuje. Ważne są właściwości samego bytu, ten jest przede wszystkim stały i nieruchomy. W myśl fundamentalnego twierdzenia, nie istnieje także czas. Czemu? Bo czas zakłada zmianę i ruch. Parmenides nie był w poglądach odosobniony, wszyscy eleaci wierzyli w absolutną jedność i bezczasowość wszelkiej materii. Dla zachowania równowagi wspomnę o uczonym przyjmującym stanowisko skrajnie różne. Heraklit z Efezu za podstawową właściwość świata uznał ruch i zmianę. *Panta rhei*. Dynamiczne i ciągłe stawanie się oraz nieustanne przemijanie. Świat nie ma początku ani końca, tak więc czas również nie ma w niczym swego źródła, sam powoduje zmiany w określonym porządku kosmosu. W greckiej filozofii przedsokratejskiej za podstawę służyło przyjęte *arché*, przenikająca wszechrzecz zasada, na której opiera się cały wszechświat. Filozofia dosyć szybko wkracza na wyższy poziom. Już Platon w pewnym sensie pogodził upływ czasu z jego podobieństwem do wieczności, chociaż jego koncepcja wciąż może

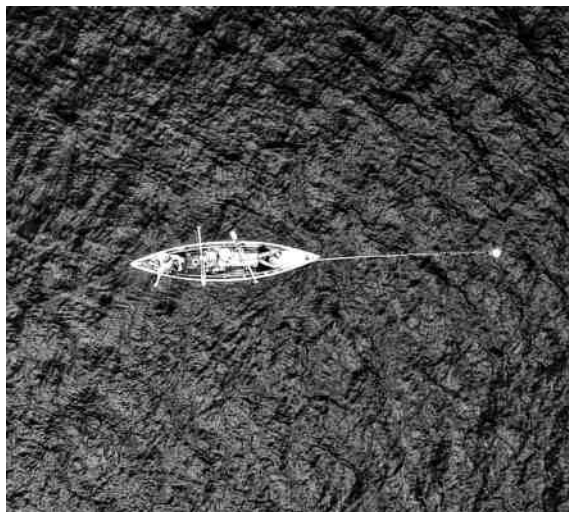


Natura czasu



wydawać się nieco naiwna. Boski budowniczy Demiurg z bezkształtnej, ale odwiecznie istniejącej materii formuje świat na wzór idei: doskonałych form istniejących poza rzeczywistością. Tworząc, wykorzystuje stałe prawa i proporcje matematyczne. Człowiek za sprawą duszy ma pewien udział w wieczności, dusza pochodzi wprost ze świata idei, w odróżnieniu od materii idee są niestworzone i niezniszczalne, dlatego duszy przysługuje nieśmiertelność. Temat podejmuje Arystoteles, jako pierwszy skrupulatnie trzymając się analitycznej metody. Nie dość, że czas wywodzi z matematyki, to określa go jako ilościową stronę ruchu, a nie jak wcześniej czyniono, sam ruch. Filozofowie zgadzali się co do tego, że ruch po okręgu jest jego najdoskonalszym rodzajem. Zgodny z rytmem natury oraz wyrażony we wzorach musi służyć do pomiaru czasu. Dopiero tradycja chrześcijańska przyniosła radykalne zmiany, kiedy czas mierzony ruchem planet zastąpiono czasem biblijnym, linearnym, czasem mierzonym historią. Zasadą porządkującą świat stał się przede wszystkim Bóg, a wieczność, wcześniej dyskutowana, stała się jednym z atrybutów absolutu. Mocno ugruntowała się koncepcja, wedle której czas istnieje w duszy albo w umyśle, nosimy go w pamięci jako teraźniejszość rzeczy przeszłych, teraźniejszość rzeczy obecnych oraz oczekiwanie, czyli teraźniejszość rzeczy przyszłych. Spójne systemy wpracowane przed wyspecjalizowaniem się szczegółowych nauk odbiły się szerokim echem w dziejach. Uchwycony w nich sens czasu odpowiada prostym intuicjom. Pozwala na pewne niedokładne, ale bezpośrednie zrozumienie związku zmiennego z niezmiennym.

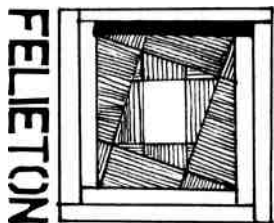
W epoce nowożytnej zmienia się zakres zainteresowań nauki. Newton wyodrębnia czas absolutny i względny wobec niego czas subiektywny, przy czym drugi jest miarą pierwszego. Leibniz dochodzi do wniosku, że czas to pewien układ relacji porządkujący procesy i zdarzenia, a punkt widzenia warunkuje jego istnienie. Finalnie, pomijając wiele zasłużonych dla rozwoju nauki osób, docieramy do XX wieku. Albert Einstein wprowadza teorię względności, rewolu-



cjonizując tym samym ogólne pojęcie czasu i przestrzeni, łącząc je w jeden twór zwany czasoprzestrzenią. Czas jest względny, zależny od prędkości z jaką porusza się osoba mierząca – obserwator. Dziś wiadomo, że dla fali elektromagnetycznej poruszającej się z prędkością światła czas nie istnieje.

Czy poważnie potraktujemy wczesne rozważania o naturze czasu? Z pewnością nie. Osoby zainteresowane tematem w pierwszej kolejności sięgną po „Krótką historię czasu” Stephena Hawkinga, poszerzając zasób wiedzy o zagadnienia współczesnej astrofizyki i kosmologii. Starożytni myśliciele napisali pierwsze rozdziały w tym wielkim i wciąż nieukończonym przedsięwzięciu, któremu przyświeca idea dojścia do prawdy i do definitywnego odkrycia sensu rzeczywistości, a w tej rzeczywistości także ukrytego sensu człowieka. Nauka ma jednak pewne granice, poza którymi nie może się wypowiadać, nie zaspokaja metafizycznych pragnień człowieka, nie odpowiedziała ostatecznie na pytanie o problem wieczności. Poszukiwanie czegoś trwałego to głęboko zakorzeniona potrzeba, stanowi punkt wyjścia dla rozważań nad wzajemną relacją czasu uniwersalnego, porządkującego przebieg zdarzeń wobec przeżywanego czasu subiektywnego. Dla indywiduum życie to nieustająca zmiana, strumień przeżyć i niepowtarzalnych jednostkowych doświadczeń, które bądź co bądź dzieją się w nierozzerwalnie powiązanych z percepcją czasie i przestrzeni.





Mateusz Lubiewski

Retrofuturyzm

Zawsze uśmiechałem się do siebie, kiedy bohaterowie powieści Lema, zlokalizowani w bliższej lub dalszej przyszłości, przebywający na odległej planecie, wywołują klisze w ciemni i suszą fotografie ociekające utrwalaczem. Przewidywanie przyszłości ma tę ciekawą właściwość, że nawet jej trafne odczytanie jest tylko wierniejszym lub mniej wiernym odbiciem z przeszłości. Z perspektywy twórczości autora *Fiaska* ma znaczenie całkowicie drugorzędne, że swego czasu nie przewidział on wynalezienia fotografii cyfrowej czy tysiąca innych wynalazków, które nagle, niepostrzeżenie i nie do końca spodziewanie stały się bardziej powszednie od chleba. Nie to jest siłą i przedmiotem tej literatury. Nie stawia sobie ona za zadanie przewidywania przyszłości w skali 1:1, bo też i po cóż miałyby to robić? Mimo to, potrzeba wybiegania w przód lub w bok - w alternatywne rzeczywistości - jest niezwykle kusząca, stąd też zarówno literatura jak i sztuki wizualne wytworzyły całkiem sporo takich propozycji, które to z czasem można zestawić z tym, co przywiał wiatr historii, niekoniecznie po to, żeby oceniać, ale dla samej przyjemności tego typu czynności. Właśnie ta rozbieżność jaka powstaje pomiędzy futurystycznymi marzeniami a ich niespełnieniem, właśnie ta przyjemność zestawienia stała się silnym impulsem artystycznym, a że dwudziesty wiek ze względu na swoje raketowe przyspieszenie rozwoju technologicznego przyniósł sporą ilość takich wizji, to i ich niemal natychmiastowych weryfikacji pojawiło się bardzo dużo.

PRZYSZŁOŚĆ, KTÓRA NIE NADESZŁA

Na tymże zjawisku opiera się trend artystyczny, który zaczął szczątkowo pojawiać się w późnych latach 60. XX wieku w Stanach Zjednoczonych pod wykrywalizowaną w latach 80. nazwą retrofuturyzmu.

Kalkując język angielski: materiałem są inspirujące twórczo wczorajsze wizje jutra albo przyszłość, która nie nadeszła, a wszystko, co się z tym robi, cały proces jest retrofuturyzmem. Autorstwo tego terminu przypisuje się Lloydowi Dunnowi, odpowiedzialnemu za wydawanie w latach 1988-1993 nieregularnika o tymże tytule. W "Retrofuturism" można było odnaleźć chociażby prozę z pierwszej połowy XX wieku poświęconą kierunkom rozwoju technologicznego. Pojawiały się takie tematy jak latające miasta, kosmiczne podróże w celu zasiedlania układu słonecznego oraz cywilizacje przyszłości obsługiwane przez roboty napędzane energią atomową. Do klasycznego anturażu należałoby jeszcze dodać zepeliny, latające samochody, pistolety laserowe czy transportowe tuby pneumatyczne (to wydaje się niedługo przestać być pieśnią przyszłości - vide projekt Hyperloop). Oprócz literatury retrofuturyzm czuje się najdoskonalej w sztukach wizualnych. Pojawia się w architekturze, modzie, plakacie, wzornictwie, filmie czy grach komputerowych i często dzieła korzystające z tej stylistyki odnoszą spory sukces. Tutaj warto przypomnieć serię gier *Fallout* czy wypuszczony przez wytwórnię SEGA *Alien: Isolation* nawiązujący (w tym także w kwestii estetycznej) do klasycznego filmu Ridleya Scotta. Do retrofuturyzmu w swoich pracach odwołuje się polska projektantka mody, absolwentka warszawskiej ASP Zuza Feliga, która łączy go z elementami orientalnymi. Za retrofuturystyczne można również uznać wszystkie nawiązania popkulturowe do słynnego filmu George'a Mélièsa *Podróż na księżyc* z roku 1902, który to otworzył gigantyczny rozdział w historii kina sci-fi.

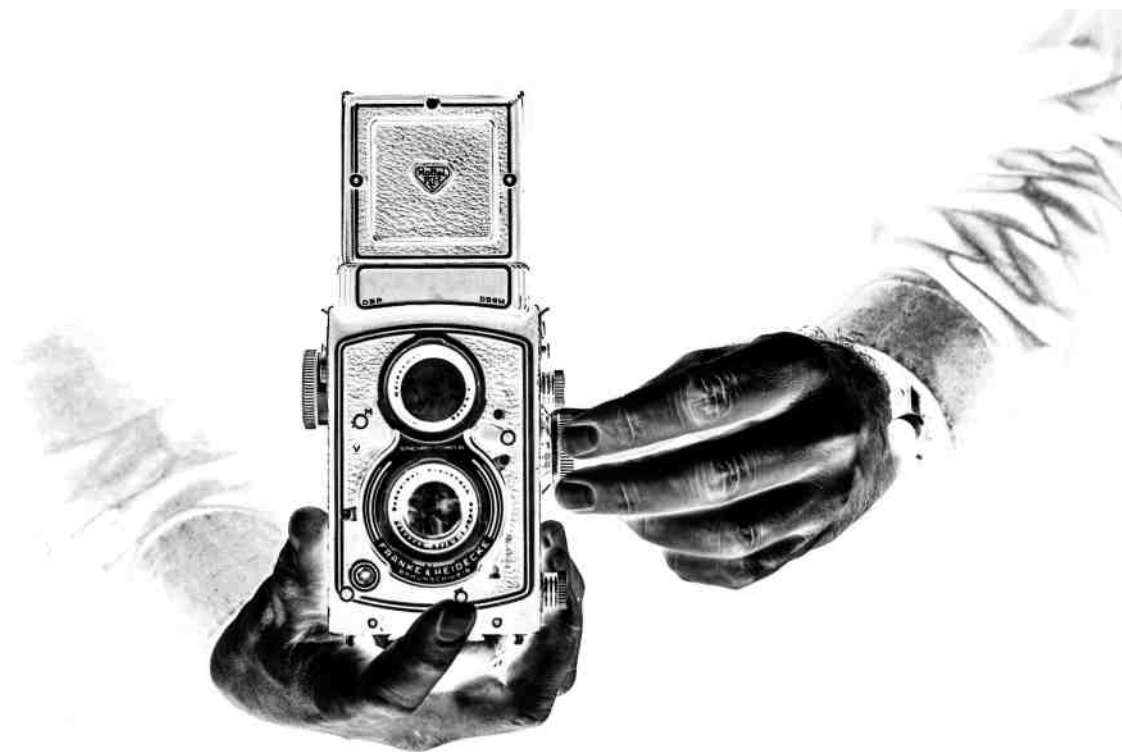


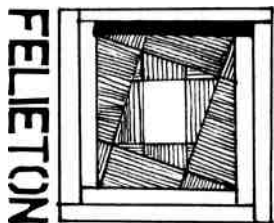
Retrofutyryzm

W DRUGĄ STRONĘ

Niektórzy w obrębie tego zagadnienia wydzielą dwa kierunki przepływu. Retrofutyryzm właściwy, czyli przyszłość widziana z przeszłości, ale też futyryzm retro, czyli sytuacja *à rebours*: alternatywna wizja przeszłości w oparciu o doświadczenie przyszłości, efektem czego są takie gatunki jak np. steampunk, dla którego typowym czasem akcji jest XIX-wieczna, wiktoriańska epoka pary. Klasycznym przykładem powieści w tej estetyce jest *Maszyna różnicowa*, w której to historia świata toczy się inaczej - maszyna analityczna Babbage'a, uznawana za pierwszy komputer (nigdy jednak nie została zrealizowana i skończyła jako niezrealizowany projekt) wchodzi do masowej produkcji w wyniku czego rewolucja komputerowa nastaje sto lat wcześniej. Na podobnej zasadzie działa dieselpunk, bliski kuzyn steampunku, ze zwyczajowo akcją osadzoną w okresie międzywojnia.

Wizje retrofutyrystyczne z jednej strony mogą wzbudzać pobłażanie, z drugiej jednak, w wyniku splecenia i wymieszania epok pozwalają spojrzeć zupełnie inaczej na postrzeganie i przeżywanie czasu. Tworzą niezwykle interesujący bezczas, w którym z przyjemnością można się zadomowić. W wyniku takiego doznania wiele osób doświadcza zjawiska faukstalгии, czyli fałszywej nostalgii, rozumianej jako tęsknota za czymś, czego się nie przeżyło, albo jako poczucie przynależności do epoki wcześniejszej. Muszę przyznać, że się nie dziwię.





Agnieszka Bykowska

SPAŁO NAM SIĘ ŻŁE

(CZY JAKOŚ TAK)

Obudziłam się w świecie, w którym oprócz ciekawych recenzji świeżutkich tomików z Biura Literackiego, na swoim facebookowym wallu mam wycinki kiepskich wierszy poetek z Instagrama. A klasyka grzecznie i po cichutku drzemie już tylko na półkach bibliotecznych. Co poszło nie tak?

NIE WSZYSTEK UMRE

Właśnie usilnie próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz stałam się dobrowolnym słuchaczem jakiejś rozmowy o wydanej niedawno książce poetyckiej. Albo dyskusji młodszych ode mnie o wierszu, który mają zanalizować na kolejne zajęcia z polskiego. I niejako z nutą rozczarowania uświadamiam sobie, że oprócz rozmów poetów z poetami, poezja należy już chyba do tematów pogrzebanych, na których nagrobkach od lat nikt nie stawia zniczy. Po lekturze jednego z wywiadów z Piotrem Śliwińskim, ojcem Poznania Poetów i głową kapituły Nagrody Literackiej Gdynia, zostały mi w głowie błagalne słowa profesora, mianowicie: „Czytajcie poetów, bo zginięcie!” Brzmi to trochę jak wołanie o deskę ratunku, ale wygląda na to, że bardzo uzasadnione to wołanie. I zastanawiam się właśnie, czy czasy świetności poezji przeminęły wraz z stabilnością pór roku i czy tekst poetycki ma prawo się zestarzeć.

ZNAM SIĘ SŁÓW

Na początku może warto wrócić do źródeł i zobaczyć, jak ma się dziś klasyka. Oczywiście mamy niezatarte horacjańskie exegi monumentum, które jakoś naturalnie osiada w naszej pamięci po konkretnych zajęciach z polskiego, a powraca przy okazji zakrapianych alkoholem imprez, na których taki to a taki kolega próbuje zaimponować pewnej koleżance. Koleżanka okazuje się jednak być niezainteresowana wywodem chłopca i w manifeście wiary w nihilizm,

nieświadomie cytując Iwaszkiewicza, mówi, że wszystko jest bezsensu. Być może niewielu z nas jest świadomych tego, że wszelkiej maści spory lub niejasności potrafią skończyć się Tuwimowym „całujcie mnie wszyscy w dupę”, chyba że dosięga nas jakaś ostateczność, wtedy mówimy o Kasprowiczowskim dies irae. I myślę sobie, że z jednej strony poezja na tym układzie zyskuje, ale z drugiej ponosi sromotną porażkę. Ta wędrówka poetyckich fraz i ich obecność w mowie potocznej wskazuje na to, że echo poezji klasycznej jeszcze gdzieś cicho kwili pośród młodszych pokoleń. Kiedy jednak pomyślę o rzeczywistym zaangażowaniu się użytkowników wspomnianych fraz w treść danego utworu, z którego zaczerpnięty zostaje konkretny slogan, zaczynam wątpić w jego dogłębność. O holistycznym traktowaniu utworu poetyckiego mało kto już pamięta,



Spało nam się źle

porzucając je na rzecz klejenia słownych kolaży. Nawet Yeatsowskie serce miłości zyskało nowe życie przez film Łukasza Ronduda. Marcin Świetlicki wyznaje jednak odmienny pogląd na ten problem. W swojej autobiografii, nakierowany na ten trop przez Rafała Księżyka, mówi mniej więcej o tym, że jeśli czytelnik z całego poetyckiego tekstu zapamiętuje tylko jedną, konkretną frazę (dziś jestem w nastroju nieprzysiadalnym), to należy tu mówić o sukcesie i osiągnięciu celu. Więc, cytując, można albo tak, albo tak.

ZA SPRAWĄ POEZJI NIE ZDARZA SIĘ NIC

Na Yeatsie chcę się zaczepić nieco wyraźniej z uwagi na archetypiczność tematyki, jaką poeta sobie obrał, mianowicie tyrejskie wsparcie dla ojczywej Irlandii w momencie rebelii, a także nieszczęśliwa, dożywotnia miłość do Maud Gonne, aktorki i rewolucjonistki. Mam za sobą lekturę „W brzuchu wieloryba”, Jerzego Jarniewicza będącą zbiorem szkiców na temat dwudziestowiecznej poezji irlandzkiej i brytyjskiej. Trzy otwierające książkę szkice odnoszą się do tzw. wielkie trójki, stawiając obok Yeatsa nazwiska Eliota i Audena. Łódzki poeta celnie podkreśla istotę mitologii we wszelkiej literackiej twórczości, przyznając jej rolę ponadczasowego fundamentu poezji w ogóle. Jednakże zarówno mit, jak i świadomość degenerującego się świata, jakkolwiek obecne w poezji dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej, na pewnym etapie napotkały na opór i zaczęły topnieć, by ostatecznie rozmyć się gdzieś definitywnie, ustępując miejsca szczególnie hołubionej, pustej poezji z Instagrama. I tu znów mogłabym się zastanawiać nad tym, czy skala w jakiej sprzedają się tomiki Rupi Kaur czy Anny Ciarkowskiej dobrze świadczy o kierunku, w jakim zmierza poezja. Bo od wysokich ideałów i Eliotowej *Ziemi jałowej*, zawędrowaliśmy na ciepłą plażę, gdzie popijając schłodzone moji-to, czujemy pod palcami sen. I przyśniła mi się idea.

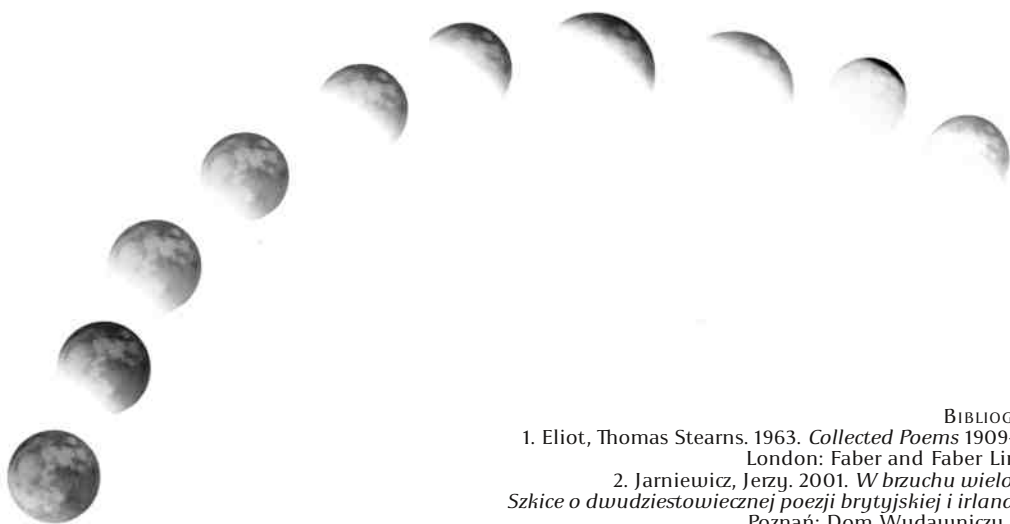


Spało nam się źle



Co niesamowite w poezji takich gigantów jak Yeats, to z pewnością wspólny mianownik łączący i spajający poszczególne etapy twórczości poety. Topos różny, często oznaczający utraconą miłość lub właśnie Irlandię, przewija się w jego wierszach niemalże do samego końca. Punktem zwrotnym zdaje się być moment, w którym Yeats poznaje swoją przyszłą żonę - przede wszystkim powierniczkę i przyjaciółkę, która wyraża się poprzez pismo automatyczne. Ta forma okaże się być dla niego wielką inspiracją w późniejszym okresie twórczości. Motywem, wokół którego Yeats osadza jedno ze swoich największych dzieł, są fazy księżyca. Poemat o takim tytule jest dialogiem między Owenem Aherne i Michaelem Robartesem – postaciami wywodzącymi się z wyobraźni poety. Można by tak więc tę sieć naczyń połączonych w nieskończoność, ale z drugiej strony po co? Czy warto dzisiejszego czytelnika ciągnąć za uszy i tym samym zmuszać do skomplikowanych procesów myślowych i szkatułkowych kompozycji interpretacyjnych? Może inaczej powinienam sformułować to pytanie: czy dzisiejszy czytelnik jest w ogóle na coś takiego gotowy? Skoro spotkania autorskie Anny Ciarkowskiej przyciągają tłumy, a to-

miki Yeatsa, Eliota, czy Audena kosztują na bibliotecznych półkach, to odpowiedź pisze się sama. I nawet Marcin Świetlicki przyznaje dziś bezwiednie, że „Pogo” się zestarzało i sam nie lubi już tego tekstu. To jednak nie powinno być dla czytelnika sygnałem, że z takiej poezji winno się rezygnować. Historia, stety lub niestety, zatacza koło, pozostawiając tym samym prawo każdego z dzieł, nie tylko poetyckich, do ponownego zmierzenia się z ich przekazem. Warto przy tej okazji powrócić raz jeszcze do słów profesora Śliwińskiego i dopytać go o nazwiska tych poetów, których mamy dziś czytać, bo może się okazać, że gdzieś się zagubiliśmy. Chyba że nie w głowie nam zastanawianie się nad kryzysem ludzkiej egzystencji i konfrontacja z poetycko-zracjonalizowanym światopoglądem podstarzałego Thomasa Eliota. Przecież nawet kwiecień nazwał najokrutniejszym z miesięcy. Na głowę upadł, czy co?



BIBLIOGRAFIA:

1. Eliot, Thomas Stearns. 1963. *Collected Poems 1909-1962*. London: Faber and Faber Limited.
2. Jarniewicz, Jerzy. 2001. *W brzuchu wieloryba. Szkice o dwudziestowiecznej poezji brytyjskiej i irlandzkiej*. Poznań: Dom Wydawniczy Rebis.
3. Rulewicz, Wanda. 1997. *William Butler Yeats. Wiersze wybrane*. Wrocław: Wydawnictwo Biblioteki Narodowej.

Paweł Szala

O zegarkach słów kilka (dosłownie!)



Tematem tego numeru „Splotu” jest czas. Jest to zagadnienie na tyle szerokie, że moglibyśmy rozpocząć wielopokoleniową dyskusję na temat tego, czym jest czas oraz czy w ogóle istnieje. Na pewno moi przyjaciele z redakcji Was nie zawiodą i opowiedzą o czasie w kontekście literackim, filozoficznym oraz jeszcze szerzej – kulturowym. Natomiast ten tekst dotyczy tego zagadnienia na nieco bardziej przyziemnym podłożu. Zegarki to dla jednych zwykłe narzędzia, które mają przekazać pewną umowną informację, dla drugih dzieła sztuki, a dla innych kompletnie niepotrzebny gadżet. Chciałbym stanąć w obronie czasomierzy i przybliżyć Wam nieco ich historię i zarazem podzielić się moją, narastającą z dnia na dzień, pasją.

CZAS START

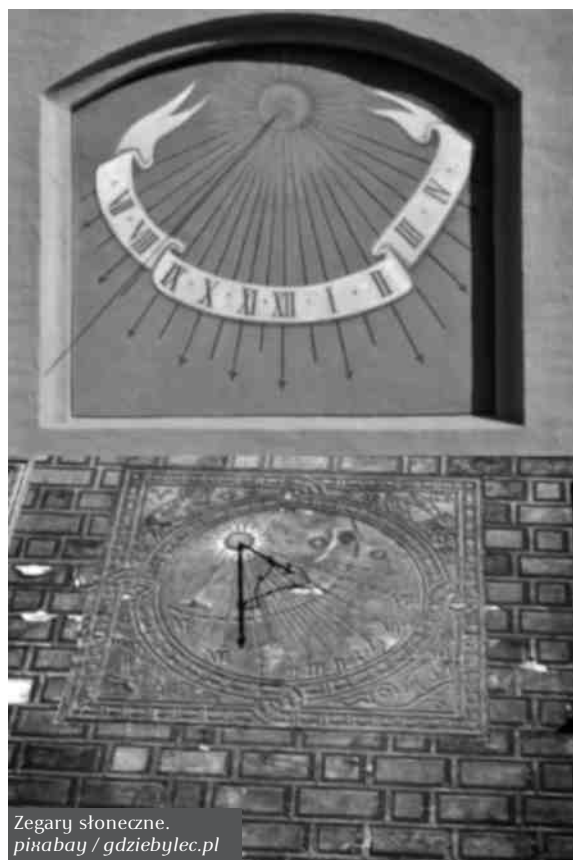
Ludzie zauważali upływ czasu już od samego początku – zwracali uwagę na zmiany pory dnia i nocy, przez co wiedzieli kiedy polować, pracować, a kiedy spać i chronić najbliższych. Oprócz tego zmieniały się pory roku oraz towarzyszyły temu inne przyrodnicze zjawiska. Pierwsze prymitywne próby odmierzenia czasu były bliższe kalendarzowi. Ale dzisiaj nie o tym.

Już w starożytności stworzono pierwsze zegary słoneczne, które, nie posiadając własnego napędu, były niestety uzależnione od ruchu Ziemi wokół Słońca (choć wtedy myśłano, że jest odwrotnie, prawda?). Aby zmniejszyć kolej rzeczy, konstruowano mniej lub bardziej skomplikowane zegary wodne (gdzie miarą była objętość wypływającego płynu), ogniowe i świecowe oraz znane wszystkim klepsydry piaskowe.

Jak podaje autor książki *Czas i urządzenie do jego pomiaru*¹ (na której opieram swoją historyczną wiedzę na temat czasomierzy) za wynalazcę pierwszego zegara mechanicznego uznaje się matematyka i mechanika, późniejszego papieża Sylwestra II – Gerberta z Aurillac (935-1003). Oczywiście, nie myśłano wtedy o zegarach jako o narzędziach typowo osobistych, lecz o dobrach mających służyć całej społeczności mieszkającej w danym miejscu. Pierwsze zegary nie miały nawet tarcz i wskazówek, a godziny sygnalizowano biciem dzwonów.

Z biegiem czasu (a jakże), zaczęto konstruować coraz to mniejsze zegary. Dzięki temu do bogatych domów trafiały czasomierze półkowe i ściennie. Przejdźmy od razu do zegarków kieszonkowych i naręcznych, bo ten wstęp jest już zbyt długi!

Zegarki naręczne, przed pojawieniem się w „masowej” produkcji, służyły żołnierzom na froncie. Sprawdzanie godziny na zegarku kieszonkowym, który trzeba było za każdy razem wyciągać, nie było zbyt komfortowe. Naręczne czasomierze, z widocznymi wskazówkami i oznaczeniami okazały się dużo lepszym rozwiązaniem.



Zegary słoneczne.
pixabay / gdziebylec.pl

O zegarkach słów kilka

KWARCOWA REWOLUCJA

Zegarki rozwijały się, ale wciąż były zbyt drogie i nie każdy mógł sobie na nie pozwolić. Z pomocą przyszli Japończycy z firmy Seiko, którzy skonstruowali pierwszy zegarek kwarcowy przeznaczony do komercyjnej produkcji, a następnie podzielili się technologią z całym światem. Od tamtego momentu, nazywanego „rewolucją kwarcową”, świat zegarków stanął na głowie. Teraz każdy mógł mieć czasomierz naręczny, o który nie trzeba było w ogóle dbać. W zegarkach kwarcowych czas odmierzany jest za pomocą drgań kryształu kwarcu, a nie jak w przypadku zegarków mechanicznych – dziesiątek i setek zębatek i innych części. Oprócz pozytywnej zmiany, kwarcowa rewolucja oznaczała upadek wielu manufaktur oraz zakładów zegarmistrzowskich. Niektórzy rzemieślnicy wyprzedawali swoje narzędzia, zwiastując kres tradycyjnego zegarmistrzostwa. Jednak po wielu latach upajania się zegarkami na baterię, do dzisiaj istnieją bardzo dobrze prosperujące firmy, sprzedające zegarki mechaniczne.

STYLE ZEGARKÓW

Na przestrzeni lat wykształciło się kilka stylów zegarków. Mimo że w sklepach można znaleźć naprawdę dziwne i przekombinowane egzemplarze (na przykład wstrętne czasomierze modowej firmy Diesel), to wiele uznanych marek trzyma się konkretnej stylistyki. Przedstawię Wam te najważniejsze.

ZEGARKI KLASYCZNE

Jak sama nazwa mówi – czasomierze te mają być przede wszystkim proste. Nosimy je na specjalne okazje, kiedy to są delikatnym dodatkiem do stroju wieczorowego. Z reguły posiadają białą lub czarną i bez zbędnych elementów tarczę, proste wskazówki (czasami nawet dwie – bez sekundnika) oraz skórany pasek. Często małe cyfry – rzymskie lub arabskie – są zastąpione przez zwykłe indeksy.



Mechanizm w zegarku szwajcarskiej firmy Tissot.
pixabay.com

O zegarkach słów kilka

ZEGARKI WOJSKOWE

Jak już wspomniałem wcześniej – zegarki wojskowe nawiązują bezpośrednio do czasomierzy konstruowanych dla żołnierzy. W oczy rzuca się zachowany kontrast w postaci czarnej lub ciemnej tarczy i białych, dużych cyfr arabskich, aby odczyt możliwy był niemal w każdych warunkach.

ZEGARKI LOTNICZE

Możemy wyróżnić dwa typy – pierwszy nawiązuje do zegarków wojskowych, gdzie cyfry są odpowiednio duże, aby były widoczne z dużej odległości. Nawet koronka do nakręcania czasomierza jest w takich rozmiarach, aby ułatwić lotnikowi nakręcanie czasomierza w rękawicach.

Zegarki lotnicze to również te, na których tarczy znajduje się niezliczona ilość indeksów i podziałek, które pozwalają na dokonywanie różnorodnych obliczeń – prędkości czy dystansu lotu, zużycia paliwa, etc.

ZEGARKI DLA NURKÓW – DIVER

Fani filmów z Jamesem Bondem na pewno kojarzą Rolexa Submarinera. To niemal wzorcowy przykład zegarka dla nurków. Niesamowita wytrzymałość i wodoszczelność, niebanalny, ponadczasowy, zachwycający, zapierający dech w piersiach wygląd. Świetnie prezentujący się zarówno na bransolecie, jak i na nylonowym pasku NATO. Pozwalają na odczytanie czasu pod wodą, między innymi dzięki nasświetlonym wskazówkom, a obracający się w jedną stronę bezel wskazuje upływ czasu.

ZEGARKI SPORTOWE

Często są duże, z tarczą posiadającą chronograf (czyli mniejszą tarczę wewnątrz, pełniącą funkcję stopera) oraz niemal pełną dowolność stylistyczną, nierzadko łączącą wszystkie powyższe typy. Idealne zegarki na co dzień – zarówno te analogowe jak i elektroniczne.



Zegarek lotniczy z podziałkami – Breitling Navitimer
pinabay.com

Ilość stron w „Splocie” przeznaczona na mój tekst jest ograniczona, dlatego mogłem napisać wyłącznie kilka zdań o wybranych stylach. Prawda jest taka, że o każdym z nich z przyjemnością stworzyłbym osobny numer naszego dwumiesięcznika. Co więcej, style czasomierzy przenikają się na tyle, że niemożliwym jest, abym mógł opisać wszystko.

MARKETINGOWY OBŁĘD

Niestety, zegarki to taki sam produkt przeznaczony do sprzedaży, jak każdy inny. Są dobre i złe czasomierze – tak samo jak samochody, buty, instrumenty czy telefony. Współczesny marketing potrafi ostro namieszać, burząc przy tym to, co w zegarkach najważniejsze – czyli jakość. Dlatego czasomierzy trzeba bronić.

Aktualnie na rynku znajduje się ogrom zegarków chińskiej produkcji. Pół biedy, jeśli kosztują one 50 centów na AliExpress lub 50 zł u zegarmistrza. W sklepach znajdziemy chińszczyznę za kilkaset złotych, a nawet więcej.

O zegarkach słów kilka

ZEGARKI MODOWE, CZYLI „MAJTKOWCE”

Każdego miłośnika zegarków boli fakt, że drogie marki modowe (Calvin Klein, Michael Kors czy Diesel) uczepiły się czasomierzy i zbijają na nich fortunę. Podobnie, na rynku pojawiło się wiele marek, które poza swoją nazwą i marketingiem niczego nie reprezentują. Chciałbym z góry przeprosić fanów zegarków DW, że uświadomię ich o stereotypowo chińskim pochodzeniu produktu. Zegarek, za którego trzeba zapłacić ponad 600 zł jest w całości produkowany w Państwie Środka – i to z kiepskiej jakości, słabo wykończonych materiałów. Nie ma co ukrywać, że jest on bardzo ładny i może się podobać. Druga rzecz, która mogłaby go bronić, to mechanizm – co prawda kwarcowy, ale skonstruowany przez japońską firmę Miyota, należącą do uznanego producenta zegarków – Citizen. Problem jednak polega na tym, że taki mechanizm każdy z nas może zakupić za nie więcej niż... 10 dolarów.

Nie ukrywam, że jest to smutne. Na szczęście w gąszczu marketingowego bełkotu możemy znaleźć, nawet w internecie, zajawkowiczów tworzących wartościowy

kontent. W tym miejscu zachęcam wszystkich zainteresowanych tematyką zegarków, do zapoznania się z ciekawym kanałem na Youtube pt. TikTalk.ⁱⁱ

CZYMS TRZEBA ŻYĆ

Takim ludziom jak ja zegarki sprawiają ogromną frajdę – zarówno z samego posiadania jak i noszenia. To tak samo, jak ze zbieraniem znaczków czy inną pasją kolekcjonerską. Ja jednak wolę mieć w swojej kolekcji kilka skórzanych czy nylonowych pasków typu NATO, dwa typy bransolet ze stali nierdzewnej, czasomierz, w którym mogę pływać w słonej wodzie bez obaw, że coś się z nim stanie, czy po prostu popatrzeć na poruszający się wewnątrz zegarka mechanizm lub płynącą wskazówkę – w czasomierzu, który ma duszę.

Chciałbym opowiedzieć Wam o zegarkach dużo więcej. Pisząc to, czuję ogromny niedosyt. Może za jakiś czas spotkamy się na naszym „Splotowym” blogu albo pogadamy o czasomierzach przy najbliższej okazji w Mózgu.



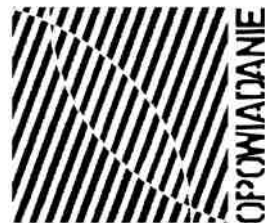
Piękny czasomierz niemieckiej firmy Junkers.
pinabay.com

ⁱ Z. Mrugalski, *Czas i urządzenie do jego pomiaru*, Warszawa 2008.

ⁱⁱ <https://www.youtube.com/user/WiecejLuzuBlog>

Jakub Wrotek

Syn



Niełatwo jest być samotnym ojcem. Podejrzewam, że po prostu ojcem również, a przynajmniej wnioskuję to po tym, że nie miałem nawet okazji poznać swojego. Jakiś czas temu rozbudziła się we mnie potrzeba rodzicielstwa. Przeżyłem życie, odgadując i układając to, kim jestem, aż pewnego dnia przyszła do mnie odpowiedź. Chciałem obdarzyć kogoś opieką, ukształtować na swoją podobiznę i wypuścić w świat. Niestety, kobiety, które spotykałem po drodze, najogólniej rzecz ujmując, nie były zainteresowane wspólnym podejmowaniem najwspanialszego aktu twórczego. Postanowiłem adoptować syna. Wyobrażałem sobie, że będzie to wyjście poza egoistyczną zachciankę i prawdziwie altruistyczny czyn budujący lepszy, pełen miłości świat.



Po wypełnieniu wszystkich niezbędnych papierów i uzyskaniu wszelkich zgód miałem udać się do sierocińca, wybrać spośród wszystkich opuszczonych dusz tę jedną, którą obdarzę szczerym ojcowskim uczuciem. Przygotowania zacząłem już wcześniej, opuszczając miasto, które mnie wychowało, ulice, na których przeżyłem wzloty i upadki, wspomnienia życia, które prowadziłem. Wybrałem uroczę małe miasteczko żyjące swoim życiem z dala od wielkiego świata. Kupiłem mieszkanie i pierwsze miesiące poświęciłem na przygotowanie go na rodzinne gniazdo. Nieskończoną ilość razy zmieniałem tapety w pokoju mojego syna, nie mogąc się zdecydować, która będzie mu się najbardziej podobała. Były tam dinozaury, galaktyki, samoloty, aż w końcu uznałem, że motywy militarne będą najlepsze. Każdy mały chłopiec przecież bawi się w wojnę. Tylko niektórym to pozostaje. Odgoniłem wzbierające myśli o poprzednim życiu zadowolony z podjętej decyzji. Wraz z wybranym tematem przewodnim kupiłem różne zabawki, ubrania i piżamy. Przeczytałem wiele książek o różnorodnych dietach i wedle tego urządziłem naszą spiżarnię. Kiedy uznałem, że wszystko jest gotowe nadszedł czas, aby umówić się na spotkanie w sierocińcu.

Gmach budynku sam w sobie wyrażał głęboki smutek tego, co kryło się w środku. Nieodnawiana od lat fasada z brudnej czerwonej cegły, ozdobiona „złotymi myślami” lokalnych artystów i wybite gdzieniegdzie szyby w oknach nie zachęcały do wejścia. W drzwiach przywitała mnie dyrektorka sierocińca. Wyglądała tak jak można by ją sobie wyobrazić, dokładnie tak jak utrwalił wizerunek takich osób literacki i filmowy stereotyp. Wyrażała nieskrywaną radość z mojej decyzji, mówiła że wszystko jest przygotowane na moją wizytę i dzieci czekają w wielkiej sali. Prowadzony przez mroczne korytarze zaczynałem wątpić w swoje decyzje, chcąc być jak najdalej



Syn



od tego przekłętego miejsca. Stłumiłem te uczucia. Nigdy nie zawracam z raz obranej drogi, surowe szkolenie, jakie odebrałem w życiu, nauczyło mnie wierzyć w słuszność własnych przedsięwzięć. Rozmyślanie ustąpiło wraz z starymi, ornamentowanymi drzewami. Moim oczom ukazał się rząd dzieci w różnym wieku stojących na baczność. Wokół nich, niczym sierżant wokół rekrutów, krążyła opiekunka, surowo karcąc każde poruszenie. Widać wzięli sobie do serca wypełniony przeze mnie formularz i byli tam tylko chłopcy. Na ich specjalnie umytych i wypielęgnowanych dziecięcych twarzach malowała się nadzieja, wielkimi oczyma patrzyli na mnie, ich zbawcę. W końcu, jeden z nich miał otrzymać ułaskawienie z moich rąk i dostąpić bezpiecznego życia. Rozejrzałem się i z dala w szybach zobaczyłem smutne brudne twarze odrzuconych dziewczynek. Byłem ciekaw, czy każdy element tego spektaklu został szczegółowo przygotowany na moją wizytę. Znów poczułem ukłucie w sercu i znów je stłumiłem. Analizowałem twarze. Z każdej z nich wyzierała chęć opuszczenia tego miejsca. Moją uwagę przykuł jeden chłopiec. Jego twarz wyrażała spokój, twardość ducha i rezolucję. Wybór był prosty.

Początki były trudne. Pierwsze dni miały nam na wzajemnych badaniu siebie. Dom, który dla nas przygotowałem, przyjął z pewną dozą nieufności. Trzymał się trochę z dala ode mnie, obchodził, niczym niespokojne zwierzę. Na każdą moją chęć wyciągnięcia przyjacielskiej ręki reagował wyuczonym posłuszeństwem. Ja uznałem, że, choć to dla mnie niełatwe, nie będę niczego forsował i na szczerą relację nadejdzie czas. Zabierałem go na spacer, gdzie na placach zabaw spotykaliśmy inne dzieci wraz z rodzicami. Z podobną nieufnością, co mnie, traktował też te radosne rodziny. Nie byłem zaskoczony, że nie umie się odnaleźć pośród tych owoców wspólnej radości obojga kochających się rodziców. Sam też czułem się obco wśród tych ludzi i to chyba nas połączyło. Dwie samotne istoty wśród obcego i niezrozumiałego świata.



Po roku zacząłem zauważać u niego pierwsze oznaki ciekawości i radości na moje działania. Zaczęliśmy budować prawdziwą relację. Ja go nauczałem, on wszystko chłonał. Uczyłem go wszystkiego, co sam musiałem pojąć bez niczyjej pomocy. Uczyłem miłości do świata, szacunku do siebie i do innych, godności, honoru. Mój syn, a tak zacząłem o nim mówić, był pojętnym uczniem. Z czasem dzieci z placów zabaw zaczęły zapraszać go do wspólnej zabawy, a ich rodzice wymieniali ze mną niezobowiązujące uwagi dotyczące rodzicielstwa. Mieszkańcy miasteczka uznali nas za pełnoprawnych obywateli, a my włączyliśmy ich do swojego kręgu.

Tak nam mijały dobre, życzliwe, spokojne, wypełnione miłością i nauką lata. Gdy mój syn osiągnął wiek młodzieńczy, postanowiłem nauczyć go samobrony. Wziąłem go na strzelnicę, gdzie przekazałem całą wiedzę, jaką miałem, o wszelkich dostępnych rodzajach broni. Okazał się wysmienitym strzel-



Syn

cem, z naturalnością (o, jak sobie wmawiałem, że odziedziczoną po mnie!) posługiwał się tymi wszystkimi pistoletami. Jednak musiałem mu wytłumaczyć różnicę między papierową tarczą a prawdziwym przeciwnikiem. Opowiadałem o swoich przeżyciach, o tym, że w prawdziwej walce jego istnienie jest największą wartością, że nigdy, ale to przenigdy, nie może się zawahać przed strzałem w stronę wroga, którego jedynym celem jest wyeliminowanie jego egzystencji. Z trudem mi te wszystkie słowa przechodziły przez usta. Na szali przecież była dusza mojego syna. Modliłem się o to, by tej jednej z moich nauk nigdy nie musiał wykorzystać w swoim życiu, ale nie mogłem też zostawić go bezbronnego na tym świecie pełnym niebezpieczeństw.

Któregoś lata miasteczko obiegła wstrząsająca wiadomość: powrócił jego syn marnotrawny. Opisywano go jako bandytę o złotym sercu. Tego, który walczył z niesprawiedliwością świata różnymi, często nie do końca prawymi metodami. Ponoć przed wielu laty zbiegł stąd w niejasnych okolicznościach i od tego czasu włóczył się po świecie, przeżywając

niewiarygodne przygody. Przez jednych znienawidzony, przez innych wychwalany, tułał się od miasta do miasta, próbując znaleźć dla siebie dom. Wszyscy chłopcy z naszego miasteczka, nie wyłączając (a jakże!) mojego syna, z miejsca postawili go sobie za największego bohatera i wzór do naśladowania. Biegali po lesie, udając, że należą do jego bandy i odtwarzając jego niestworzone przygody. Całe miasteczko świętowało jego powrót. Tylko ja byłem niespokojny, widząc w tym zapowiedź złego fatum. Widziałem upadek wszystkiego, co przez te lata budowałem, całej opoki bezpieczeństwa, całej nauki, całej miłości, którą dałem mojemu synowi. Postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce i skonfrontować się z przybyłym. Jak się okazało, nie było to łatwym zadaniem, ponieważ, mimo wieści o jego powrocie, nikt go tak naprawdę nie widział. Jednak, korzystając ze swoich wszystkich umiejętności poprzedniego życia, dość szybko go wytropiłem.

Mieszkał w zapadłej norze na obrzeżach miasta. Na tę wizytę odrzuciłem pozę troskliwego ojca, którą pielęgnowałem przez ostatnie lata i powróciłem do bezwzględnej, żołnierskiej postawy z dawno zapo-



Syn



mnianej przeszłości. Wyważyłem kopniakiem drzwi i, ku mojemu zaskoczeniu, czekała na mnie lufa pistoletu wycelowana w moją skroń. Za nią krył się mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu o spokojnym, twardym spojrzeniu. Jego rysy twarzy coś mi przypominały, coś bliskiego, kogoś bliskiego. Stałem jak wryty. Już wiedziałem kim jest ten mężczyzna! Wiedziałem, po co i po kogo wrócił! Opuścił broń, staliśmy bez słowa, przenikając się spojrzeniami. W tej niewerbalnej grze spojrzeń powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Po chwili skinąłem mu głową i wyszedłem. Po prostu wyszedłem. W głębi czułem, że to się w końcu wydarzy. Z pełnym zrozumieniem odszedłem, czekając na dalszy rozwój sytuacji.

Siedziałem w kuchni, wsłuchując się w tykający zegar, kiedy mój syn wzburzony wrócił ze szkoły. Opo- wiadał o mężczyźnie, którego spotkał, o swoim bohaterze i o rewelacjach, które ten mu przekazał. Zapytał, czy wiedziałem o tym. Odpowiedziałem mu. Rozmowa była krótka, mój syn oznajmił mi, że zamierza dołączyć do swojego ojca. Ja z kolei oznajmi- łem jemu, że jeśli taka jest jego wola, nie będę się sprzeciwiał. Spędziłem jeszcze kilka dni w pustym domu. Tym, który tak pieczołowicie budowałem, w który włożyłem tyle miłości, ile tylko byłem w sta- nie w siebie wycisnąć. Teraz jednak te ściany, na któ- re nałożyłem tyle tapet, krzyczały do mnie, że to ja jestem tym obcym, że to nie jest moje miejsce, że mam się stąd wynieść, bo nie jestem nikomu potrzebny. Ja też to czułem i dlatego wróciłem do miasta

Pod moją wieloletnią nieobecność miasto się wcale nie zmieniło. Nadal panowała tu przemoc, bezpra- wie, degrengolada tocząca jego mieszkańców. Od ra- zu skierowałem się do Korpusu. Do tego Korpusu, od którego przed tyle lat uciekłem w nadziei na lepsze, dobre życie, a który tak jak kiedy sam byłem małym bezbronnym, niemającym nikogo chłopcem, tak i teraz przyjął mnie w swoje ojcowskie ramiona. Po- wróciłem do dawnego życia z łatwością, z jaką ubie- ra się stare, ulubione buty. Znów bezwzględna ręką

szerzyłem prawo i pokój we wszystkich miejscach, gdzie ich brakowało. Nie wspominałem o tym wcze- śniej, ale byłem w tym dobry, bardzo dobry. Wie- działem że droga do szczęśliwego i spokojnego świata jest wyboista i, że aby wyboje zniknęły, trze- ba drogę przekopać i ułożyć na nowo. Znów wierzy- łem w nieomyłność sądów Korpusu, jak syn wierzy w nieomyłność swojego ojca.

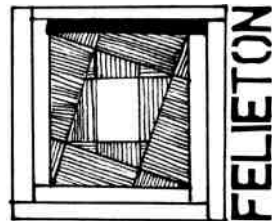
Lata mijały, służba pozwoliła zapomnieć o wszyst- kim. Jednak głęboko we mnie cały czas krył się nie- pokój. Kolejne misje zbliżały mnie do nieuchronnego. Z każdą kolejną kopertą z wytycz- nymi drżałem na myśl, że może to już teraz. I w koń- cu nadeszło. Następnym celem było to moje małe, wyidealizowane miasteczko. Z danych wynikało, że stało się siedliskiem wszelkiej plugawości i niemo- ralności. Kiedy całym oddziałem dotarliśmy na miejsce, miasteczko wydało się jeszcze piękniejsze niż je zapamiętałem, budynki były odnowione, drzewa były wyższe i bardziej zielone niż je zapamię- tałem. Rozkazy mówiły co innego, nie sprzeciwiam się rozkazom. Miasteczko stanęło w ogniu. Ruch oporu okazał się silniejszy niż się spodziewaliśmy. Rebelianci wyszkoleniem dorównywali naszemu, strzelali równie celnie jak my. Wzajemnie wymor- dowywaliśmy się w imię sprzecznych wizji dobrego świata. Strzelałem w twarze rodziców i dzieci, któ- rych zapamiętałem z placów zabaw, a oni strzelali w nasze. W końcu wszystko ucichło. Zostałem sam na placu boju. Ulice skąpane były w ogniu i krwi. Za ple- cami usłyszałem kroki. Odwróciłem się i przede mną stał mój syn. Miał łzy w oczach, wargi mu drżały jak- by chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Celo- wał do mnie z pistoletu. Nasze spojrzenia spotkały się. Zawahał się. Ja nie.

Obudziłem się zły zimnym potem. Postanowi- łem, że, co jak co, ale nie będę sprawdzał znaczenia tego snu w senniku.



Katarzyna Gwincińska

Sam diabeł szepnął: Pekapej, czyli ballada wagonowa



Odkąd sięgam pamięcią, podróż koleją w Polsce zawsze była koszmarem. Tłok, brud i smród, opóźnienia i niemożność dokonywania sprawnych przesiadek, chaos i niemoc zarządzania. Wszystkie te zjawiska falują od lat ze zmienną amplitudą i okresem.

Pasażerowie, bezradni w obliczu tych plag egipskich, tych dopustów Bożych, tych klęsk, wykazują zadziwiający spokój i znajdują płaszczyznę porozumienia, na której nierzadko opiera się wielogodzinna podróżna konwersacja. Przy odrobinie poczucia humoru, uczestnictwo w podróżnej rozmowie lub zwykłe jej podsłuchiwanie to prawdziwa przyjemność. Przyjemność, która pozwala zapomnieć o niezbyt wysokiej jakości samej podróży.

Teksty powstały w 2010 roku. Od tego czasu trochę zmieniły się wagony i opisywany tu gmach dworca w Gnieźnie. Czy coś jeszcze?

PAN POKIERESZOWANY

Słowa „pokiereszowany” używam czasem. Nigdy się szczególnie nie zastanawiałam nad jego znaczeniem, dopóki pan w pociągu nie zmaterializował całej treści tego wyrazu. Szczupły, żylasty, o stalowych mięśniach, całą twarz miał w bliznach po okrutnym trądziku młodzieńczym. W uśmiechu co chwilę ukazywał trzy czarne zęby, nieregularnie osadzone w górnej szczęce. Na jednej ręce, wzdłuż całego przedramienia ciągnęła się głęboka szrama, w dłoni drugiej ręki sterczał krótki kikut zamiast środkowego palca, a palec serdeczny był nienaturalnie wykrzywiony w stronę kciuka.

Pan, mężczyzna około czterdziestoletni, jak co tydzień wracał z pracy na wybrzeżu do domu w wielkopolskiej wsi. Był skromny, świadom swoich niedostatków towarzyskich, ale i chętny



Scot Taipale via Storyful.

Sam diabeł szepnął Pekapej



do rozmowy. Wyczekał na swój moment i opowiedział nam o problemach z suszą. Spotkaliśmy się, gdy deszcz nie padał od jakichś pięćdziesięciu dni. W tym roku pan postanowił obsadzić swoje dwa hektary ziemniakami. Spróbował zaorać pole, ale ziemia była zbyt twarda. Przeliczył też cenę sadzonek i stwierdził, że nie stać go na zagospodarowanie całości. Porozumiał się więc z sąsiadem, który dysponował sprzętem ciężkim – tu nie rozumiiałam szczegółów – i w zamian za zaoranie pola, odstąpił mu pod ziemniaki jeden hektar na ten rok. "Wiecie Państwo – podsumował – ta ziemia przylega do cmentarza, tam ludzie chodzą, nie mogą widzieć, że ziemia leży odłogiem".

PANNY MĄDRALIŃSKIE

Nie ukrywam, że w pociągu preferuję lekturę lekką. Potrafię wydać ostatnie dziesięć złotych na kieszonkowy kryminał w kiosku na dworcu. To trochę jak nałóg i czasem tylko siłą woli odrywam się od ulubionego stoiska, bo w niebieskim

plecaku zamiast „sznytek” lektura naszykowana już czeka. Tym razem nie oparłam się pokusie – ale która z pań plus czterdziestek przesłaby objętnie obok Arsena Lupin?! Zaopatrzona w *Wydrżoną iglicę*, zajęłam miejsce w przedziale wraz z dwoma pannami licealistkami. Ciekawość przygód dżentelmena włamywacza wyłączyła mnie na jakieś czterdzieści minut, jednak panny dyskuowały coraz intensywniej i... zwyciężyły.

Początkowo docierały do mnie fragmenty ich elokwentnej konwersacji i uświadomiłam sobie, że to już studentki pierwszego roku. Trochę było mętnie, bo całą energię zużywały na omówienie przygotowań do matury z języka polskiego. Czy zdawały ją ponownie, by zmienić kierunek studiów, czy też przeżywały jeszcze ubiegłoroczne sukcesy – nie wiem. W każdym razie wspólnie usiadły na głupim Tomku, który nic nie rozumie i, omawiając poezję, mówi „ja myślę”, a kogo to obchodzi, co on myśli?! Ten Tomek, to pojęcia zielonego nie miał o PODMIOCIE LIRYCZNYM. On powiedział, że w wierszu narrator mówi. Przestań,



Sam diabeł szepnął Pekapej



narrator?! Tu obie zerknęły wymownie na moją niewybredną lekturzynę, którą chwilowo zamknęłam, by chłonąć młodość mądrość. Fakt, u mnie narrator mówił, ale chyba nie o to im chodziło.

Ów Tomek stanowił idealny punkt odniesienia dla dziewczęcych popisów teoretycznej wiedzy o wierszu, wiedzy, która w ich rozmowie niebezpiecznie abstrahowała od poezji. Prześcigały się w wyliczaniu środków wyrazu i elementów konstrukcyjnych, lecz PODMIOT LIRYCZNY ciągle powracał. Ten idiota (Tomek), jak już w końcu pojął, o co chodzi, to powiedział, że w wierszu *Adolfek* WiEśławy Szymborskiej są dwa podmioty liryczne!

Tak.

Po tym wstrząsającym oświadczeniu zamilkły na chwilę i zmieniły temat. Zadały sobie nawzajem uprzejme pytania o lektoraty. Jedna uczy się serbskiego i mimo namów nie zdecydowała się wygłosić zdania w tym języku. „Wiesława” natomiast uczy się chińskiego. Owszem, coś powie, ale musi najpierw złapać intonację i – poczekaj, muszę się uśmiechnąć. Oni tam się ciągle uśmiechają i tylko z uśmiechem się po chińsku mówi: „Ciangciangciang”. Co powiedziałaś? Poproszę kurczaka piezonego.

OSTRZEŻENIE PRZED ZŁODZIEJAMI

Dworzec w Gnieźnie jest odpychający. Czy bardziej niż inne dworce, rozstrzygać nie zamierzam. Od strony peronów zieje pustką i wzmaga wyobcowanie. Hall jest mały i jeszcze najbardziej znośny. Poczekalnia natomiast stanowi kuriozum ohydny. Nie ze względu na wystrój – nawet w miarę estetycznie urządzona: niebieskie krzeselka, po obu stronach ściany okien, wychodzących i na perony i na miasto. Przez poczekalnię wchodzi się do baru, który też teoretycznie spełnia liche nowoczesne standardy. W barze jednak, a zatem i w poczekalni, śmierdzi kuchennymi oparami, głównie zjeżdżalnym tłuszczem. Ta charakterystyczna woń miesza się z nieopisanym



opole.wyborcza.pl

smrodem, który w samej już poczekalni wytwarzają bezdomni. Bowiem bezdomni koczują na gnieźnieńskim dworcu i zimą, i latem, upijając się bezkarnie byle czym w ciepłej i przestronnej poczekalni, paląc tam, mimo oczywistych zakazów, papierosy i awanturując się przy łada sposobności, na szczęście tylko we własnym gronie. I, jak za starych czasów, jedyne czego w poczekalni robić im nie wolno, to spać. Strażnicy miejscy na przemian ze strażnikami ochrony kolei, patrolując regularnie tę swoistą „światlicę”, potrząsają drżmiącymi opojami i idą dalej.

Latem można uciec od tego „folkloru” na zewnątrz, zimą nie. Lecz nawet lato tegoroczne nie jest przychylne, więc – chciał, nie chciał – i my, podróżni dalekobieżnych pociągów, ze „światlicy” korzystamy. Na szczęście możemy skupić się na zjawisku przyjemniejszym. Od wczesnej ►

Sam diabeł szepnął Pekapej



wiosny w poczekalni zamieszkały dwa wróble, żywiące się okruchami rozsypanymi na podłodze. Nie wiem, kto zdobywa się na desperację konsumowania w takim miejscu, lecz dzięki tym bohaterom wróble mają tu czego szukać, a my – odskocznę od koszmaru. Wróble jeszcze nie do końca rozumieją przestrzeń, w której się organizują. Bywa, że hukną dziobem w szybę, tę przezroczystą, nieoczywistą przeszkodę. Bywa, że niebezpiecznie zaplączą się pod nogi biesiadników. Wtedy bliskość tragedii przyprawia nas o skurcz żołądka. Wszystko zawsze się dobrze kończy i wróble znów wesoło podskakują od okrucha do okrucha. Ale zapowiadają już nasz dalekobieżny i porzucamy ptasi serial do następnej tu bytności. Tradycyjnie, po zapowiedzi przyjazdu pociągu, pani w megafonie wygłasza formułkę: „Uwaga podróżni! Prosimy o zwrócenie uwagi na swój bagaż i rzeczy osobiste. Ostrzegamy przed możliwością kradzieży, szczególnie przy wsiadaniu i wysiadaniu z pociągu”. W tym momencie wszyscy oczekujący na peronie zaczynamy się baczniej przyglądać najbliższym stojącym współpodróżnym. Ponieważ na złodzieja jakoś nikt nie wygląda, z pewnym opóźnieniem wymieniamy uśmiechy. Taki gnieźnieński znak pokoju.

SŁODKIE ŚLEDZIE

Trzech pasażerów pociąg wiozł... od Gdyni. Dojechałam się w Bydgoszczy, na „czwartego” do przedziału dla palących. Panowie byli sympatyczni, z gruba ciosani i dobrze już zaawansowani w rozmowie. Osiągnęli ten moment podróźnej zażyłości, gdy klnie się swobodnie i bez przeproszania. Moim wtargnięciem zakłóciłam harmonię ich komitywy, tym większej, że parami, każdy z każdym miał coś wspólnego: Pierwszy i Drugi znali garnizon na Helu, Drugi i Trzeci stoczną w Gdyni, zaś Trzeci i Pierwszy byli zawodowymi kierowcami, między innymi ciężkich maszyn rolniczych. Wszystkim zdarzyło się pracować na Za-

chodzie, wszyscy lubili wypić i wokół alkoholu, mimo dyskretnego szacunku „dla damy”, powoli zaczęła krążyć ich dyskusja.

Akurat wyposażyłam się w tak ambitną lekturę, że nie chciało mi się jej czytać, więc przysłuchiwałam się ich rozmowie, wtrącając z rzadka jakąś dowcipną uwagę. To ponownie rozluźniło atmosferę i gadka wartko popłynęła. Jakoś im zeszło na szwedzkie problemy z zakupem trunków i tu rykoszetem pan Drugi opowiedział o swoim kilkumiesięcznym pobycie w Szwecji. Początkowo nacisk kładł na niskie „oprocentowanie” wódki i równie barbarzyńskie traktowanie piwa w tym północnym kraju, gdzie słońca mało i pić się chce. Stopniowo jednak przesunął się na opis obyczajów, by stanąć na jadłospisie.

– Ale żarcie to mają koszmarnie. I wszystko na słodko! Oni nawet śledzie słodkie wypierdalają!

Tu pan Drugi zawstydził się, spojrzawszy na mnie, lecz wybuchnęłam tak niepohamowanym śmiechem, że też po prostu zaczął się śmiać. I kontynuował:

– Jedno, co mi smakowało, to takie jakby hot dogi. Grzeją bułkę, potem kroją, na to kładą takie pokrojone ogórki...

– Sałatkę szwedzką – wtrąciłam ze śmiechem.

– No, właśnie – potwierdził. – Na to kładą ciepłą parówkę, keczup czy coś tam i znowu ogórki. Przykrywają bułką i to jest pyszne. Naprawdę to lubiłem.

Skończywszy wywód zamyślił się przez chwilę.

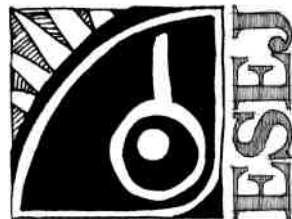
– Sałatka szwedzka! No rzeczywiście! Słodkie ogórki!

Roześmiał się inaczej, refleksyjnie, zadowolony ze skojarzenia.



Maksymilian Gwinciński

Wszechpotężny Władca Burzy



Szango jest bogiem okrutnym i przerażającym a gniew jego nie zna granic. Od samego początku swego istnienia kłótniwy i dążący do sporów i walk, które zawsze wygrywa. Włada potężnymi siłami natury, sprowadzając na ziemię pioruny powodujące pożary, które niszczą jego przeciwników. Sprowadza jednak także życiodajną wodę, gdyż to właśnie on powoduje burzę z wszystkimi jej konsekwencjami. Za sprawą magicznego leku Ogu z ust jego buchają płomienie. Jest uosobieniem męskości, siły i pożądania. Bóg tancerzy i bębniarzy, sam posiada niespotykane umiejętności w obu dziedzinach.

Szango przedstawiany jest jako silny mężczyzna w czerwono-białych szatach, dzierżący w ręku podwójny topór Oshe. Często ukazywany jest również z towarzyszącym mu ognistym wierzchowcem. Zwierzęciem poświęconym Szango jest baran, którego składa się w ofierze podczas rytuałów. Muzycznym atrybutem bóstwa są bębny bata,

których jest wirtuozem i które służą kapłanom do oddawania czci Szango oraz do przywoływania burzy. Wedle niektórych podań, Szango powoduje pioruny, rzucając w gniewie kamieniami z nieba. Wiara w to była kiedyś na tyle silna, że kapłani często przeszukiwali okolice miejsca, gdzie uderzył piorun, w celu znalezienia boskiego kamienia, który miał mieć wielką moc.

Geneza bóstwa sięga starożytnego jorubańskiego królestwa Oyo, którego Szango był czwartym Alafinem (królem-hegemonem). Sprawował twarde rządy, był władcą okrutnym i bezlitosnym, aczkolwiek za jego panowania w kraju panował dobrobyt. Lud Oyo wielbił Szango, jednak w pewnym momencie sprzeciwił się jego polityce prowadzenia wojen. Ludzie chcieli spokoju i rozwoju gospodarczego. Szango początkowo wykpił swoich poddanych, lecz widząc, że jest bezsilny, udał się do lasu i powiesił się na drzewie. Lud Oyo nie mógł w to uwierzyć. Wielki



Shango Performance, Oshogbo, Oshun State, Nigeria
youtube.com

Wszehpotężny Władca Burzy



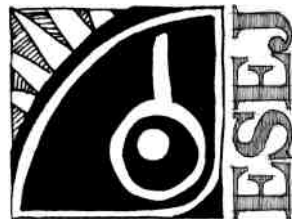
Róźdzka taneczna o dwóch twarzach Szango.
www.hamillgallery.com

władca sam sobie odebrał życie. Szango jednak nie umarł. Z jego grobu wyrosły dwa łańcuchy, które sięgały aż do nieba i które wykorzystał, by stać się jednym z Oriszów, wcieleń boga stwórcy. Szango miał trzy żony, które utożsamiane są z trzema głównym rzekami krainy Jorubów. Pierwszą żoną Szango była Oba, drugą - Oshun. Żył z obiema naraz. Obę poślubił ze względu na jej oddanie i umiejętności kulinarne, natomiast Oshun zauroczyła go swą porażającą pięknnością. Kobiety nie żyły jednak ze sobą w zgodzie, tylko ciągle rywalizowały o miłość męża. Pewnego dnia Oshun, chcąc podstępem pozbyć się Oby, przekonała ją, by przygotowała dla Szango potrawę, do której miała wkroić swoje ucho. Pragnąca przypodobać się mężowi Oba tak też uczyniła. Gdy Szango wziął do ust potrawę, zdał sobie sprawę z całej sytuacji. Opanował go wielki gniew i wygnał oby dwie żony. Jego trzecią żoną była Oya (rzeka Niger), którą upodobał sobie najbardziej ze wszystkich. Oya spędzała całe dnie polując w lesie. Nie mieszkali razem, gdyż Szango był zmęczony obecnością kobiet. Mimo tego żyli w wielkiej miłości oprócz jednego incydentu, gdy Oya w tajemnicy skradła potężny lek Ogu. Szango ścigał ją dzień i noc po całym świecie. Mordował każdego na swojej drodze, jednak nie udało mu się złapać Oyi. Zmęczony pościgiem wybaczył żonie i od tego czasu żyli w zgodzie.

Kult Szango przetrwał w zmienionej formie do czasów współczesnych. Handel niewolnikami z Afryki Zachodniej pomiędzy XVIII i XIX wiekiem doprowadził do przemieszczenia znacznej części Jorubów. Zmuszani do pracy na plantacjach Nowego Świata, oderwani od swej rdzennej kultury, Jorubowie stworzyli nowe, synkretyczne formy religijne, w których Szango stał się bóstwem dominującym. Karaibskie kultury, takie jak kubańska Santeria, czy haitańskie Voodoo, oddają hołd Szango, który występuje pod imieniem „Chango” natomiast brazylijska religia Candomblé, również pochodzenia jorubańskiego, nazywa go „Xango”

Maksymilian Gwinciński

LONG LIVE THE PIMP

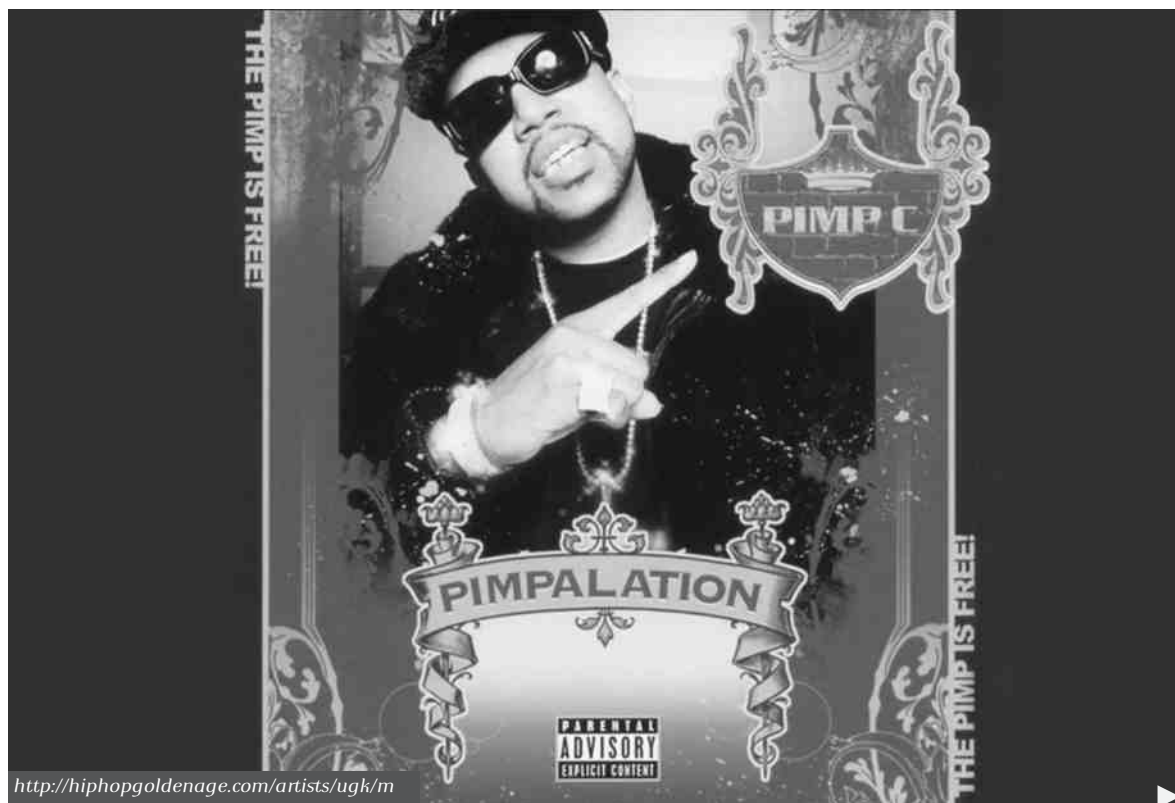


Pimp C - Chad Butler urodził się 29 grudnia w 1973 roku w małym miasteczku Port Arthur w Teksasie, oddalonym o 163 kilometrów od Houston, stolicy teksańskiego rapu. Pod koniec lat osiemdziesiątych wraz z Bunem B, utworzył duet hip-hopowy Underground Kingz (UGK). Pierwszy album grupy „Too Hard to swallow” ukazał się w 1991 roku nakładem wytwórni Jive Records. Kolejne albumy „Super Tight”, „Ridin’ Dirty” i „Dirty Money” okazywały się kolejnymi przełomami, powodując, że na początku lat dwutysięcznych UGK znaleźli się w ścisłej czołówce rapu.

W styczniu 2002 roku, tuż po wydaniu „Dirty Money”, Pimp C został skazany na 8 lat więzienia za napad z bronią w rękę. Reakcja środowiska była natychmiastowa. Bun B tuż po ogłoszeniu

wyroku rozpoczął kampanię „Free Pimp C”, której celem było skrócenie wyroku Butlera ze względu na jego działalność na rzecz społeczeństwa w Teksasie. W 2004 roku wytwórnia Rap-A-Lot Records zainicjowała stworzenie pierwszego solowego albumu Pimp C pt. „Sweet James Jones Stories” na którym znalazły się niewykorzystane sesje nagraniowe oraz różne freestyle. Pod koniec 2005 roku Pimp C został zwolniony warunkowo z więzienia. Pierwszym oficjalnym klipem z jego udziałem po wyjściu jest wideo do utworu Buna B „Get Throwed”, gdzie oprócz UGK można usłyszeć również Z-Ro, Young Jeeziego oraz Jaya Z.

Drugi solowy album Butlera „Pimpalation”, wydany w połowie 2006 roku okazał się wielkim sukcesem. Promowały go trzy single „I’m Free”, „Pourin up”



<http://hiphopgoldenage.com/artists/ugk/m>

LONG LIVE THE PIMP



oraz „Knockin’ Doorz Down”. Na początku marca kolejnego roku “Pimpalation” zyskało status złotej płyty, sprzedając się na terenie Stanów Zjednoczonych w nakładzie 500 000 kopii.

7 sierpnia 2007 roku ukazał się piąty album UGK pt. „Underground King”, który kilka dni po wydaniu znalazł się na pierwszym miejscu zestawienia Billboard 200. Gościnnie udział wzięli znakomici raperzy, m. in. Slim Thug, Big Daddy Kane czy Rick Ross, a promujący album singiel „International Players Anthem” z udziałem duetu OutKast oraz Juicy J’ i Dj Paula z Three Six Mafia okazał się wielkim hitem i został okrzyknięty najlepszym utworem hip-hopowym z południa Stanów. Pięć miesięcy później, podczas kolejnej trasy koncertowej, Butler został znaleziony martwy w swoim pokoju hotelowym w Los Angeles. Przyczyną śmierci było przedawkowanie kodeiny w połączeniu ze środkami nasennymi.

Pimp C był postacią wielką i unikatową. Był pionierem w każdej dziedzinie życia, z którą się stykał. Flow, śpiew czy wyprodukowane przez niego bity były innowacyjne, pełne melodii, ale jednocześnie czuć było w nich gangsterski feeling i wielką życiową mądrość. Pimp był postacią, która inspirowała do dzisiaj. Poprosiłem dwóch zaprzyjaźnionych muzyków o wypowiedzenie się w kilku zdaniach na temat tego, jak Butler wpłynął na nich oraz ich twórczość.

**KILO**

BYDGOSKI PRODUCENT, DJ ORAZ KOMPOZYTOR:

Pimp C to dla mnie ikona nie tylko muzyczna. Całe jego życie to ciekawy zlepek kontrastów, które dopiero w dużym oddaleniu zaczynają nabierać sensu i tworzą jakąś logiczną całość. To właśnie dzięki niemu pojąłem jak funkcjonuje ten świat i jak w nim odnajdują się takie oryginalne jednostki. Zanim zaczął zarabiać fortuny na ulicy, był wzorowym uczniem, tak samo z resztą jak Bun B. Obydwaj panowie odnosili sukcesy szkolne i z reguły mieli najlepsze wyniki. Bardziej muzyczny przykład jednego z takich kontrastów to gospelowe refreny i poparcie ze strony kościoła dla jego działalności muzycznej. Pimp nie stronił od ulicznych opowieści. W większości numerów nawija o narkobiznesie, sutenerstwie oraz niekończących się imprezach, gdzie każdy robił z siebie chodzącą tablicę Mendelejewa."



LONG LIVE THE PIMP



PIRES

BYDGOSKI RAPER:

Pimp był i jest tą bardziej cenioną przeze mnie połówką UGK - najlepszego duetu w historii rapu. Chłopaki z OutKast niech wybaczą. To, czym mi zaimponował, to niesamowity feeling, pomijając to, o czym mówi już jego ksywa, Pimp potrafił tworzyć wspaniałe i głębokie melodie, poparte świetnymi tekstami, których nie powstydziliby się wielu muzyków uprawiających szeroko pojętą czarną muzykę. Melodyjność ta po wieki będzie dla mnie inspiracją i to uznaję właśnie za największy atut Pimp C w moim mniemaniu. Wpłynęło to bardzo również na moją twórczość, w mniej lub bardziej słyszalnym stopniu."

Pośmiertnie ukazały się jeszcze trzy solowe albumy z niewykorzystanymi wcześniej ścieżkami nagrań: „The Naked Soul of Sweet Jones”, „Still Pimping” oraz „Long Live the Pimp”. Każdemu kto nie spotkał się do tej pory z twórczością Pimp C lub UGK gorąco polecam nadrobić zaległości. To nie tylko kawał dobrego rapu, ale po prostu genialna muzyka, która porusza się pomiędzy kilkoma światami. Rest in Peace, Pimp C!



youtube.com



POEZJA

stacja

słuchać
skrzydła cykady
silnik ciężarówki
opony autostrady
rozgryzane powietrze
wahające się nad drogą

stacje benzynowe są wszędzie takie same
zasadniczo
różnią się co najwyżej
temperaturą, okolicznymi drzewami i
walutami jakimi płaci się
i językami dziękowania
przy kasie.

(pisanie przerwane
nadjeżdżającą nadzieją -
nie zatrzymują się
więc powrót do pisania)

Verona
(a w zasadzie 23 km do)
19 lipca, 2012 słuchać

Początek zmiany

Początek porannej zmiany, parę minut po szóstej.
W kieszeni niebieskiego kombinezonu słuchać, że przyszedł
sms od mamy:

Weszłam do domu, kawa pachnie. czasem są gorsze dni.

Lipiec

Jan Jamiołkowski



Paul from block

pamiętam mój pierwszy raz z heroiną
nie no, żartuję, nigdy nie ten

tzn. chciałam powiedzieć, że jestem przypisana do tego
chłopaka
ale między nim a mną jest mniej mnie niż jego
intuicja? czyli chodzi o to, że mnie zdradzi?
jestem gdzieś dokładnie między kimś a kimś
nie jestem
kim bym była
wyprzeciętniałam się ostatnio

rockowym głosem z chrypą:
"nauczyciele fuck off!", wypierdalać!
ty też wypierdajaj, Czarek
bo masz nie do mnie, a siebie problem

i mogłabym z tej żenującej niedoli
napisać, że pamiętam mój
pierwszy raz z heroiną

a chodzi tylko o to, że trochę się
boję, czy z nami wszystko dobrze
wszystkimi
bo ze mną nie, jak się boję i czuję głupa

to jak umierać w okolicach bikini
to dobrze, w końcu jak umrę to ktoś coś dostanie
nie wolno tak mówić!

jak się przyjedzie na hulajnodze
to bardziej wiadomo, co w środku
na dupie portki z tesco, i tiszert z lumpa na klatce
ty tak nie masz, Czarek
nawet jak se kupisz

wypierdajaj, zostaw mnie, Czarus



NOWOŚCI



Głątwa
POLIPY

Głątwa to bardzo świeży bydgosko-gdański duet wykonujący muzykę elektroniczną. Gdyby ktoś chciał przyporządkować ich twórczość do jakiegoś konkretnego nurtu, równie dobrze mógłby iść pieszo na księżyc – w obu przypadkach to niemożliwe. Electroclash z jazzowym saksofonem, fragmenty starych polskich słuchowisk teatralnych czy przekradająca się niepostrzeżenie myśl Emila Ciorana – to tylko niektóre ze składowych ich debiutanckiego materiału pt. „Polipy”. Album dostępny do kupienia zarówno w wersji fizycznej jak i cyfrowej za pośrednictwem strony wytwórni Plexus of Infinity.



FFF
DRONES DREAMS

O czym mogą śnić drony? Czy mają swoje marzenia i koszmary? Odpowiedź na to pytanie przygotował enigmatyczny kolektyw FFF, który wraca z nowym materiałem pt. „Drones Dreams”. Tym razem będzie to niemal godzinna, muzyczna podróż przez szumy, melodie oraz zgrzytające usterki. Kosmiczny ambient pełen tajemnic i zwrotów akcji. Chore urojenia koterii szamanów zza niewidzialnej ściany wszechświata. Jesteście na to gotowi?

